



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCOJ

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebnera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 gr. 20

CO JEST SZCZĘŚCIE?

Czy szczęście jest to: każde chęci naszej życzenie,
Przez losy wypełnione?
Z drogi naszego życia wszystkie ostre kamienie,
Usunięte na stronę?
Nieznana tęsknota, nieponiesiona strata,
Dzień pogodny od rana?
Owoc z każdego kwiatu, każdej pracy zapłata,
Do ręki nam podana?
I oczy co nie płaczą, usta, które się śmieją,
Do słodczy kielicha?
Słońce zawsze witane dnia dobrego nadzieją?
Noc, co zstępuje cicha?

Szczęście.... czy to nie w piersi serca gorące bicie?
Skrzydła, co w górę wznoszą?
Czy to nie takie pełne istoty naszej życie,
By ból stał się z rozkoszą?
A cóż iskry ogniste, jak z krzemienia i stali
Wydobyte tą siłą?
Szczęście.... czy to nie ogień uczuć, który się pali,
By życie ciepłem było?
Szczęście, czy to nie wielki cel rzucony przed siebie,
Pragnienie i tęsknota?
Czy nie gwiazda poezji, promieniująca na niebie,
Natchnienia czara złota?

Szczęście... czy to nie zapal? szczęście czy to nie
[miłość?

Czy nie wiara, nie męstwo—
Podniesione nad małych spraw i losów zawilość—
Górne ducha zwycięstwo?

Marya Ilnicka.

PO WAKACYACH.

(Dalszy ciąg).

Przez rozum, przez dobrze pojętą miłość macierzyńską, na koniec przez tę prostą uczciwość, która się łączy z obowiązkiem dobrego wychowania dzieci swoich, każda matka powinna dać córce wiadomości, niezbędne jej potrzebne do dobrego wykonywania przyszłej pracy życia. Jest to posag moralny, bez którego nie wolno jej oddawać młodej małżonki mężowi, nie wolno wypuszczać w życie istoty nieporadnej, niezdolnej do zadosyć uczynienia życia tego wymaganiom. Ale nie samym chlebem człowiek żyje i nie do samej pracy na chleb ograniczają się też moralne, obywatelskie człowieka obowiązki. Matka powinna to czuć i pamiętać o tem wobec młodej córki swojej, nie zapominając także, że w każdej szlachetniejszej piersi młodej odzywa się i wечно odzywać się będzie ów nakaz poety: „Młodości ty nad poziomy wylatuj!” Dorastająca dziewczyna często przez tę właśnie idealność młodości gardzi wyniosłą pracą, która ku ziemi schyla i dla fizycznych tylko potrzeb trudzić się każe, wypada jej też drugą, moralną stronę rzeczy wykazać, aby ważność jej zrozumiała; ale wypada zarazem pomyśleć dla niej i o tej pracy, o tej działalno-

ści innej, która ku wyższym celom życia dąży i potrzebom ducha odpowiada. W każdej szkole mówią dziewczęciu o jej obowiązkach względem ludzkości: o jej obowiązkach względem ubożego, ciemnego, o obowiązkach tych stronie obywatelskiej—mówią jej, że jest cnotą ofiarę ze swoich przyjemności, ze swojego używania, na korzyść owych obowiązków czynić, że jest cnotą światło szerzyć, piękno moralne w duszach ludzkich rozwijać, w każdym człowieku czuć brata i mieć dla niego bratnie serca uderzenia. Mówią jej to: i ona, jeżeli tylko jest istotą choć trochę podnioslejszą, wraca w dom rodzicielski z myślą wyższych porywem, z uczuciem rozbudzonego w niej zapalem szlachetnym do działania na korzyść ukazanych jej ideałów. Młodość pierwsza kocha więcej marzenia niż ludzi; zanim przyłgnie sercem do osobistych swych przywiązań, kocha piękne objawy moralne życia z namietnością, którą potem wcieli w miłości inne: i dlatego też młodość nazywa się kwiatem życia. Dusza ludzka rozwija się jak kwiat wonny i piękny pod słońcem uczuć czystych i podniosłych, nad pragnienie własnego szczęścia, wyniesionych. Potrzeba zlania się z drugim sercem ludzkim, kochania na własny szczęścia rachunek, potrzeba współczującej, miłośniej nam oddanej istoty, przychodzi zwykle dopiero później objawiona tęsknota, która jak mgła z oparów gorętszego już lata powstała, nad czołami się zwiesza. Ale młodość pierwsza ma przedewszystkiem gorące ukochanie ideałów życia wzniosłych i jak Schiller powiada: „Ideały wiary, cnoty i miłości i swobody” to orszak otaczający młodość w życie wstępującą: i matka liczyć się z tem powinna, gdy córka zostaje jej przez szkołę oddana. Jeżeli zaprzeczy tym jej uczuciom szlachetnym, jeżeli zadosyć uczynienie im wykreśli z planu życia dziewczęcia, jak coś nadetatowego, nadpotrzebnego, coś, co jest mrzonką i exaltacją, jeżeli szczególnie szyderstwem te uczucia córki dotknie, lub przeciwstawi im samolubne, niechrze-

scijańskie poglądy na życie, zdradzi oschłość serca, lub tę niską tępość myśli, która nie rozumie nic poza interesem osobistym — dziewczę musi to uczuć bardzo ciężko. W miarę temperamentu swego, w miarę większej lub mniejszej tkliwości serca, objawi się to w niej, albo buntem jawnym, albo smutkiem cichym, ale w każdym razie matka w oczach dziecka swego wiele straci — wymowny bolesne, ciężkie słowo — wiele straci na szacunku, jeżeli nie na przywiązaniu nawet, wiele straci na wierze, na ufności, którą córka miała do niej dotąd.

A jaką jest tej straty doniosłość, dowodzić nie potrzeba. Matka przestaje być moralną córką kierowniczką; niedoświadczona młodość zaczyna już żyć o sile własnej, nie znajdując podpory tam, gdzie przez prawo natury mieć ją była powinna. Pęka między matką i córką węzeł najświętszy, duchy ich rozchodzą się ze sobą, oddalają się od siebie i w takiej rodzinie nie ma już mowy o zespoleniu się tkliwym. Córka stoi na innem, matka na innem poziomie, jeżeli, niestety! dziecko nie zacznie powoli zestepować z podnioslejszego uczuć i myśli stanowiska i nie zejdzie do matki, przez jej wpływ poniżone!

Czasem bywa inaczej: czasem zawody życia dają wiekowi starszemu pesymizm smutny. Przepojony ich goryczą odwraca się od tego, co było przewodnią gwiazdą jego dni młodych, i patrząc w tył poza siebie, na pracę, która nie wydała plonu, lub tak małeńki, że się stał niedostrzegalnym dla oka, które chciało tu widzieć tak wiele, jak wielkimi były chęci do działania popychające — wiek starszy rzuca swoje niewiary, swoje rozczarowania na serce młodości, rwącej się do czynu. Matka, która o wiosnie życia była może entuzjastką, teraz gotowa powiedzieć córce: nie warto!... Nie zrozumieją cię, nie odczują, i zmęczysz się próżno, utrudzisz daremnie, serce sobie zakrwawisz...

Zgorzknienie takie czasem zaciemnia umysł, który tworzy sobie teorie razem fałszywe i nie-miłosierne: o pokładzie ludzkości dolnym, o tłumie zbitym w ciemność, dla której niema odkupienia z czernoty i nędzy. Pryska przytem często egoistyczne słowo, które wiele tłumaczy, słowo o niewdzięczności. Że ta samolubna chęć wdzięczności towarzyszy bardzo często filantropii, dobroczynności naszej, dlatego potem tak boli namiętnie każdy niedobór powodzenia, dlatego wstępuje potem w serca ludzkie mizantropia, czyniąca człowieka człowiekowi wrogiem. Żmichowska miała też względną rację, odrzucając pewien gatunek pań od filantropijnych na korzyść sługi poświęceń. Uczucie pokrzywdzenia rodzące się z nieuznania działających dobrych chęci, stosunek potem zaostrza i gorszym czyni, niż był poprzednio. Kto przez czyste i nad swoje ja podniesione uczucie miłości bliźniego rękę do sprawy tej nie przykładą, kto nie działa przez uczucie sprawiedliwości, przez uczucie obowiązku, ten niech lepiej na stronie się trzyma, bo nie jest mu danem tej pocziwej pracy podołać. Ale w żadnym razie, przez żadną rację, nie wolno jest nikogo od dobrych uczynków, od cnotliwych zamiarów odwozić, i rodzice są pod ten nakaz moralny taksamo podciągnięci, jak wszyscy inni. Niewolno im stawiać przeszkód na drodze córki, do szlachetnego celu dążącej i próżno mówić-by chcieli, że ją od zawodów i cierpienia bronią, że pragną oszczędzić jej pracy daremnej. Kiedyż i z jakiego do życia zawody i cierpienia wyłaczyć się dały i co to jest praca nadaremna? Rodzice nie mogą żyć za dziecko swoje, musi to być każdego osobny obrachunek z Bogiem, a wreszcie są siewy, które niezazwyczajnie plonować mogą. Nowiny mają konieczną oporność gruntu, któremu pozwolono twardnieć przez zwieki, mają stare ziarna dziękiego ziela, głęboko w gruncie tym leżące, mają perz, który się z korzonków odradza: trzeba dobre ziarno siać, siać lata długie, trzeba lata długie orać i bronować, aby rola stała się prawdziwie dobrą, aby stała się plenną — i pokolenie po pokoleniu uznoić się tu musi.

Matka nie powinna też zrażać córki niewiarą, nie powinna truć jej ducha zwątpieniem, bo dziewczę, natury szlachetniejszej, gdy żadnego ujścia dla swoich pocziwych pragnień nie znajdzie, gdy

nie pozwoli jej na żadną pracę filantropijną, gdy ją od niej odstręczą i odgraniczą, musi cierpieć i duchem więdnąć, albo psuć się powoli i w nicosć osuwać. Nie szlachetnych zapałów należy się matce dla dziecka swego obawiać, ale przez wskazanie dróg i zdrowych celów podsuniecie należy jej czuwać, aby nie stał się w młodym duchu pożar, aby podniosłe pragnienia nie poprowadziły na bezdroża — aby jej dziecko stało przy rodzimem dobra i moralnego piękna pojęciu, przy rodzimej idei trzech cnót do zbawienia nam potrzebnych: miłości, wiary i nadziei...

Ale istnieją często między dzieckiem a rodzicami różnice, jakgdyby zabarwień ducha. Często dziecko ma inne umysłu skłonności, porywy, obdarowania artystyczne: matka powinna również z tem się liczyć, gdy córka dorastająca lub dorosła ma obok niej żyć. Wtedy nawet, gdy ją chce najpraciej zatrudnić, nie godzi jej się jednak wyrokiem bezużyteczności tego wszystkiego obkładać, co doraźnej i dotykanej korzyści nie przynosi. To, co dla jednego może się zdawać prostą i bezcelową zabawką, dla drugiego jest umiłowaniem wysokiem, jest zajęciem poważnem całej jego istoty, i odbierać mu to, lekceważąco to sądzić, jest okrucieństwem. Mówię tu o zamięłowaniach naukowej, literackiej natury, o sztuce. Są talenta wyższe, talenta w całym tego słowa znaczeniu, zaród artystycznej twórczości w sobie noszące; i gdzie się objawiają, należy je uznać, jako zawód, jako pracę życia uważając i kształceniu ich, rozwijaniu nie przeszkadzać narzucaniem wyczerpującej pracy innej.

Ale i tam nawet, gdzie artyzm na niższym swym stopniu tylko zamięłowanie jakiejś sztuki daje, jeszcze to jest rzecz cenna i nadająca prawo do zajęcia się nią i hodowania, jakgdyby wspaniałe piękne kwiatu, który nas pięknosnią swoją słodko cieszyć będzie, który nam przez aromat woni swojej powietrze balsamicznem uczyni. Jest wielka, jest ogromna rozkosz, w zamięłowaniu artystycznym ukryta, jest w niej moc prawie uszczęśliwiająca życie, bo często to jego najwyższa uciecha, często pociecha cała. Żmichowska nazwała swój dar poezji szczęściem nieszczęśliwem i było to rzeczywiście jej szczęście w życiu, które jeżeli może nie było nieszczęśliwem, to z pewnością szczęśliwem nie było. Ale nawet nie tak wysokie obdarowanie artystyczne może przecież podobny, uszczęśliwiający skutek przynosić, i jest to zawsze wysokie błogosławieństwo Boże, gdy w samym sobie, w duchu swoim nosi się taką, od nikogo niezależną siłę, która wdzięczne zajęcie często smutnej chwili przynosi, która nas od bolesnej nieraz rzeczywistości odrywa, zapomnienie jej daje i posiadać ją, jest to mieć na ziemi swój kącik raj, gdzie się przed troską ukryć, od żalów, smutków, tęsknot życia odgrodzić można.

Gdyby nawet uważać zamięłowanie artystyczne jako zabawę samą, bez żadnych innych na duszę wpływów, będzie to i tak rzecz nie mała, gdyż bawić się dobrze to niemal żyć dobrze. Praca rzadko grzeszy: zabawa-to zabawa najczęściej jest w życiu szaleństwem, rozrzutnością, która się z jutrem nie rachuje, jest szukaniem upoju niezdrowych. Mieć na wezwanie swoje czarę tego nektaru, który się ze źródła Hippokreny czerpie, to słodko ucztować i nic na to nie tracić, a nabywać tylko; bogacić się, nie ubożyć. Zamięłowanie artystyczne powinna też matka w córce radośnie witać i starannie podtrzymywać — powinna mu wśród praktycznych zajęć pracy troskliwie miejsce wyznaczyć. Jest ono w życiu potrzebnem, jak piękne życie tego dopełnienie. Stosunek nasz do sztuki — to stosunek nasz do ideału, do jego pociech i uciech szlachetnych.

Tosamo powtarzać się powinno odnośnie do książki, do zajęć i upodobań literackich młodej panny. Czytać powinna, aby umysł pola nie zależał, aby nie pozostał w tyle za ruchem myśli swego czasu, aby kosztownie i mozolnie nabywana nauka nie poszła na marne; ale tu uwaga matki musi być wyższą i baczniejszą: co młoda jej córka czyta? Nietylko zły romans psuje, świeżość, dziewictwo uczuć ściiera i wyobraźnię niezdrowo brudzi. Jest po za tą kategorią książek, głównie płodów litteratury francuskiej, czy-

tanie inaczej szkodliwe, które sofizmatem swoim na umysł młodej dziewczyny uderza, na jej nadziemskie ideały cień swój rzuca i zasadę obowiązku z zasadą odpowiedzialności moralnej jej odbiera. Matka też nietylko może, ale powinna aż do umysłowej pełnoletności córki, co może być oznaczone czasem pełnoletności prawnej, nad czytaniem jej kontrolę utrzymywać, w czem ojciec powinien jej do pomocy stanąć. Dorosłe jej dziecko może sobie potem jakie chce drogi życia wybierać, ale jest wiek, nad którym powinna ona tak opiekę swą rozpościerać, jak ptaszek rozpościera skrzydła nad gniazdem z piskletami swojemi.

Jest trzeci rodzaj czytania szkodliwego: czytanie nieużyteczne, czytanie książki lichej, czytanie takie wreszcie, które nie umysłowi nie przynosi, a mając pozór szlachetnego niby zajęcia się książką, bezkarnosć pewną sobie wyrabia. Nieustannie i gromadnie czytanie powieści, które jest poprostu karmieniem się bajką dla bajki, to próżnowanie bardzo złego rodzaju. — gorsze niż gdyby czytelniczka taka z założonemi rękami siedziała, bo myśl jej przebywa ciągle wśród położeń i wzruszeń sztucznych, które obalamucają umysł istoty młodej, nieznającej życia i mającej zaledwie jego przecucie niepewne. Jeszcze u nas nie ma prawie złych powieści, i bywają niemi tylko tłómaczone, powieści z wiarołomnemi heroinami, powieści kryminalne, gdzie gorączka, zajęcie skupia się koło złodzieja lub mordercy; ale przesycanie się najlepszymi nawet jest niedobre, już dlatego, że przy takim czytaniu nadmiernem ginie, przez nieuwagę pominięte, to, co jest tu na lepszego, co jest dobrego właśnie: zarysowanie charakterów i to piękno artystyczne, które wyższa powieść posiada zawsze. Nawet ze względu na wyrobienie literackiego smaku nie powinno się pozwolić młodej pannie, która może nie zna najwyższych arcydzieł naszej literatury, na czytanie zbyt obfite powieści. Zatraci ona sobie w ten sposób gust do książki poważniejszej, uczącej, zepsuje go jak dziecko, które za dużo cukierków i ciastek jadając, nie znajduje już smaku w zdrowym, pożywnym kawałku żytniego chleba. Młodość jest to pora pracy, pora siewu i takie czytanie zbyt przeważnie w kierunku jednym i najłżejszym nie daje umysłowi tej uprawy, jaką młoda panna osiąść powinna, zanim bardziej nagłać obowiązki pracy na przeszkodzie temu staną. Są studia historyczne, które poznać powinna, bo nie jest to znać historią swego kraju i świata, gdy się jej tylko na szkolnych ławkach uczyło, wypada jej poznać cały szereg poetów naszych, i wyższych poetów obcych, takich naprzykład jak Schyller, Goethe, Byron, Moore, Wiktor Hugo. Toż to jest cały świat piękności, czarowne krainy do zwiedzenia: i czyż można zatrzymać się obojętnie lub leniwie gdzieś u brzozy, i zadowolić się najdrobniejszymi tylko kreacjami tego piękna, które nam może ducha podnieść i szlachetnie do szlachetnego życia wyrobić?

Marya Ilnicka.

PIERWSZA NOWELLA

PRZEZ

J. Zacharyasiewicza.

— Co pan masz w tece nowego? — zapytała mnie ładna blondyneczka, o piwnych oczach.

Zapytanie to podrażniło bardzo przyjemnie moję dumę autorską. Dopiero zacząłem był pisać, a zaledwie kilkuset abonentów jednego na cały kraj pisma mogło o tem wiedzieć. Przepuszczając, że połowa tylko z obywatelskiego poczucia za pismo płaciła, ale go wcale nie czytała, mogę z pewnością twierdzić, że zaledwie parę osób na jeden powiat wypadało, któreby o mojej autorskiej egzystencji wiedziały. Mojego konterfektu nie zamieściło jeszcze żadne pismo ilustrowane i w żadnym kalendarzu nie było

mnie jeszcze. Nawet krytyka, która na pierwszych talentów lubi sobie zęby ostrzyć, nie dostrzegła mnie jeszcze—i zostawiła w spokoju. Mimo to nie myślałem tak źle o sobie. Byłem wprawdzie jeszcze „prostym żołnierzem”, ale po głowie roilo mi się ciągle, że w tornistrze mam buławę. Cieszyło mnie nawet, że nie macano po tornistrze przed czasem, i nikomu nie miałem za złe, że o tem, co tam było, nie wiedział.

Z tego powodu zapytanie panny Leonili sprawiło mi rozkosz niewypowiedzianą. Wiedziała, że jestem autorem, a piwne jej oczka przebiły juchtową skórę mej teki i obaczyły, co się tam ukrywa. Z bijącym sercem ozwałem się do niej:

— Przed panią nie mogę nic utaić, bo widzę, że należysz do owych... dwustu abonentów pisma, w którym drukuję moje utwory. Mogłbym wywinać się kłamstwem, ale zawód autora pojmuję. Autor jest poważnie kapłanem w białą szatę odzianym, a takiemu kłamać nie wolno. Muszę więc wyjawić przed panią moje tajemnicę najskrytszą, o której nawet redaktor mego pisma nie wie. Trzymam ją w tece zamkniętą i tylko pani udało się wydrzeć ją z tamtąd.

Umilkłem na chwilę. Żal mi się zrobiło, że w uniesieniu mojem za daleko zaszedłem, odkrywając światu moją autorską tajemnicę. Ale świat ten tak uroczro prosił mnie i błagał o tę tajemnicę! Piwne oczka Leonili nie odrywały się od moich oczu, a drobna jej rączka wypisywała w powietrzu rozłożonym wachlarzem takie jakies zagadkowe litery, że w żaden sposób oprzeć się nie mogłem.

— Napisałem nowellę — rzekłem z pewną boleścią, z jaką rozbójnikowi rzuca podróży kieszonkę, gdy mu tenże grozi sztyletem.

Piwne oczy Leonili były ostrzejsze od sztyletów.

— Napisałeś pan nowellę? — zapytała z rozkoszą Leonila, dotykając wachlarzem mojej ręki — Przepadam z ciekawości... pan mi ją dasz w manuskrypcie do czytania... nieprawdaż?

Widziałem wyraźnie, jak przy tych słowach na różowym jedwabiu swojej sukni wypisała wachlarzem literę *K*. Żywiej zabiło mi, serce.

— Ach, pan! — odpowiedziałem jak żołnierz broniący twierdzy na to, aby ją z honorem poddać nieprzyjacielowi.

— Będzie to dla mnie niewysłowioną rozkoszą—mówiła dalej Leonila—jeżeli pierwsza przeczytam to, co potem tysiące będą czytały!

Ukloniłem się z autorską skromnością.

— Dlaczego chcesz pani być pierwszą? — zapytałem.

— Mówią — odpowiedziała, bawiąc się wachlarzem—że pierwsze wrażenie... pierwsze uczucie... i pierwsza miłość są najprzyjemniejszymi!

I znów wypisał wachlarz na koronkowej tunice literę: *O*. Było ich już dwie. Gotowałem się do poddania twierdzy.

— Nie wiem dlaczego — odpowiedziałem z westchnieniem—ale żądaniu pani nie mogę się oprzeć. Obawiam się, abys tego wpływu kiedyś nadużyć nie chciał!

— Czy w tem widziałbyś pan jakie nieszczęście?

Nie wiedziałem na razie co odpowiedzieć, ale Leonila wyczytała odpowiedź z twarzy mojej i uśmiechnęła się z rozkoszą. Nieubłaganą jednak była, jak każdy tyran. Popatrzała na mnie przez chwilę, a tymczasem wachlarz wypisywał wyraźnie: *O* potem *H*.

— Nic mi pan nie odpowiadasz? — zapytała.

— Wiesz pani zapewne — odpowiedziałem — że do zalet każdej lepszej powieści należy to, jeżeli na wszystko nie odpowiada, i wiele rzeczy domyslności czytelnikowi zostawia.

— Czasami domysły nasze mogą nas łudzić bardzo boleśnie, a całem naszym nieszczęściem jest to, że my pod wpływem wrażenia wszystko zaraz zbyt jasno wypowiadamy! Nic nie umiemy ukrywać.

Różowa jej twarzyczka okazywała teraz jakies rozżalenie, a hebanowy wachlarz wypisał machinalnie w powietrzu litery: *A—M*.

Byłem już jeńcem i cwałem puściłem się w jasyr.

— Rozrządzaj pani mną, jak niewolnikiem swoim—rzekłem z uśmiechem, nie będąc pewnym, czy Leonila także się nie rozśmiej!

Nie rozśmiała się: przeciwnie. spojrzała na mnie z wielką uwagą. Zdawało mi się, że pierś jej podniosła się lekkim westchnieniem.

— Dajesz mi pan władzę dyskrecjonalną nad sobą?— odpowiedziała z powagą — będę umiała utrzymać ją w granicach...

— Jakiż jest pierwszy rozkaz pani?

— Powiesz mi pan, jaki ma tytuł nowella.

— „W niebie i na ziemi.”

— Wyborny tytuł! Aż oskoma bierze przeczytać taką nowellę! Jest tu wszystko czego tylko człowiek pragnąć może i niebo i ziemia!

— Jestem dumny, że pani to się podoba.

— Dziś jeszcze przyslesz mi pan nowellę.

— Dobrze, pani.

Byłbym jeszcze długo tak rozmawiał, gdyby nie stryjenka Leonili, która ją w tej chwili do siebie zawołała i przysobie kazała jej usiąść.

Jeszcze tegosamego dnia wręczyłem służącemu mały pakietek starannie zawinięty i różowym szpagatem związany.

Jeżeli kto z was był kiedykolwiek autorem, to wie zapewne, co to znaczy, jeżeli wasz utwór po raz pierwszy publiczność czyta. Tysiące nieznanych uczuć przebiega serce, wszystkie tętna biją jak młotem, a w nocy zrywacie się ze snu, aby jedną pięścią zgruchotać Zoiłów, a drugą ręką przycisnąć do serca tych wszystkich, którzy z miłością w oku waszą książkę przeczytali do końca.

Inaczej jeszcze było ze mną. Nowela moja nie była drukowaną. Wiedział o niej tylko cienki papier welinowy, złote pióro z dyamentowym końcem i kałamarz, który przedstawiał głowę ptaka, podobnego do orła, jaki się zwykle spotyka na obrazach św. Jana Ewangelisty.

I ten sekret autorski był teraz w posiadaniu Leonili! Piwne jej oczka biegały do woli po tym papierze welinowym, a mała jej rączka przewracała z cichym szelestem, drobno zapisane kartki... Wyobrażałem sobie, z jaką rozkoszą odczytuje mój utwór, jak jej pierś rośnie z ciekawości: co się w końcu stanie z bohaterką: czy wzleci do nieba, czy zostanie na ziemi?... Ale ponieważ i w Lipcu nie bywa zawsze pogodnie, to też i na widnokręgu mojej autorskiej rozkoszy pojawiło się kilka chmur. Przypomniałem sobie, że na kilku stronicach są znaczne poprawki i odsyłacze, a na jednej rozsiadły się nawet dwa potężne żydy. Pocieszałem się jednak, że te drobne usterki ludzkie znikną zupełnie wobec wrażenia, jakie sprawi poważny temat nowelli.

A był to temat nielada. Na jedną bohaterkę przypadło aż dwóch bohaterów. Jeden przedstawiał boskie niebo, drugi brudną ziemię. Jeden kochał się w bohaterce, drugiego kochał bohaterka. Pierwszy pochodził wprost z nieba i był poetą, drugi, stosownie do metody Darwina, wylazł z jakiejś poczwarki ziemnej i jako osobnik zaborczy zagarnął w swoje posiadanie tysiąc morgów czarnej nad-sańskiej ziemi. Nie mniej czarna bohaterka zapalała żądzą do tej ziemi, ale ziemski bohater nie chciał jakoś tego zrozumieć. Wtedy przyszedł w pomoc poeta. Przywabiony słodkim głosem Syreny, ukląkł przed nią i zaczął śpiewać pieśni miłosne tak głośno, że go aż w trzech powiatach słyszano. To obudziło zapalę ziemskiego człowieka. Zapłonął gniewem, kazał sprzedać najlepszą czwórkę i pojechał do pałacu Syreny. Poeta został, jak drugi Adam, sromotnie z raju wygnany, a piękna Syrena tą samą czwórką za trzy tygodnie pojechała do ślubu.

Sens moralny tej nowelli był niewątpliwy. Miała ona dla podobnych nieczynów wzbudzić wstręt w sercach wszystkich czytelników i przystępować dobry grunt dla tych, którzy prócz gorącego serca ani jednego morga czarnej ziemi nie mają. Była to, zaiste, tendencja bardzo szlachetna.

Gdy to wszystko sobie przypominałem, cieszyłem się jak dziecko. Wyobrażałem sobie, jak silne wrażenie sprawi ta nowella na Leonili, z ja-

ką wdzięcznością, uściska mi rękę za moje oburzenie, jakiemu w tej nowelli dałem wyraz, rzucając kłatwę na tych, którzy najświętsze uczucia poniewierają, a nawet czasem niemi frymarczą! Byłem z tego dumny i szczęśliwy.

Przez cały wieczór nie mogłem znaleźć spokoju. Widziałem ciągle Leonilę czytającą moją nowellę. Raz siedziała na sofie w uroczym negligi, drugi raz spoczywała na szesłagu w aksamitnych pantofelkach, ale najmilse sprawiała mi wrażenie, gdy ją widział na miękkim łożu, opartą o białe, puchowe poduszki. Jedną rękę podniosła do góry, jakby się zasłaniała, a w drugiej trzymała mój sextern welinowy i pożerała piwnymi oczyma tą tak ciekawą nowellę!

Ostatni ten obrazek niepokoił mnie najwięcej. Wszystkie szczegóły rysowały się w mojej wyobraźni tak artystycznie, że byłbym dał połowę życia za to, gdybym taki widok mógł w rzeczywistości ujrzeć.

Przyszła mi szczególna myśl do głowy. Po cóż miałem nadaremnie spierać się z sobą: czy Leonila czyta moją nowellę na sofie, czy przy biurku? Mogłem się przecież o tem łatwo przekonać. Mogłem wyjść na ulicę i spojrzeć w okno. Wprawdzie stryjenka Leonili mieszkała na pierwszym piętrze, ale z pozycji światła mogłem łatwo poznać, gdzie znajduje się jasnowłosa rusalka.

Coś mnie gwałtem ciągnęło na ulicę, chociaż zdobycz nie mogła być tak wielką, jak tego sobie życzyłem. Ubrałem się i wyszedłem.

Było już blisko północy, gdy zdala ujrzałem oświecone okna w szarej kamienicy. Serce uderzyło mi w piersi i biło coraz żywiej w miarę zbliżania się mego do celu. Wreszcie stanąłem tuż pod oknami. W pokoiku Leonili było ciemno, okna za to w salonie jaśniały światłem. Usłyszałem akordy fortepianu i śpiew kobiecy—był to głos Leonili. Poznałem go potem ciąglem *tremolo*, którego zazwyczaj używała, gdy była wzruszoną.

Stałem spokojnie na ulicy i wciągałem do serca te rzewne tony, jakby były wyłączną moją własnością. Gniewałem się, gdy jakiś późniejszy chłopiec szewki przy mnie się zatrzymał. Ofuknąłem go bez namysłu, i to samo chciałem zrobić policyantowi, lecz obawa, aby mnie nie wziął za waryata, kazała mi się powstrzymać.

Różne myśli przychodziły mi do głowy. Myślałem sobie, że Leonila, przeczytawszy moją nowellę, zapłakała nad losem poety, a wzięwszy lampę do salonu, usiadła do fortepianu, aby dać folę wzruszonemu sercu i czułą piosenkę posłać poecie, z którym tak nielitościwie obeszła się kochanka. Myślałem sobie: jak cudownie wygląda w tej chwili Leonila ze śladami łez na białej swojej twarzyczce, jak pierś jej biała podnosi się westchnieniem, jak piwne jej oczy patrzą gdzieś w niebo i tam, między aniołami, szukają biednej ofiary zdrady kobiecej! Wszystko to widziałem jasno i wyraźnie, chociaż w przezroczu okna migał mi tylko jakiś cień niezgrabny, podobny do bałwana z czasów przedchrześcijańskich.

Trwało to dosyć długo. Aby nie zwrócić uwagi policyanta, który mnie mógł posądzić o mniej szlachetne zamiary, zacząłem przechadzać się po ulicy tam i napowrót.

Gdy potem znów do szarej kamienicy się zbliżyłem, było już ciemno na pierwszym piętrze. Z bramy wychodził właśnie jakiś niski a gruby mężczyzna, szerokim płaszczem otulony. Zdziwił się nieco, gdy mnie zobaczył. Poznałem go. Był to pan Jacek, który gdzieś nad Sanem miał znaczny majątek, ale nie miał szczęścia do pańien. Był to sobie już marcowy kawaler, który mniej dbał o amory, a wielce lubił karty i kieliszek starego węgryna. W szarej kamienicy mieszkał jeden z jego przyjaciół i podejrzewałem go, że był u niego na kartach.

— Pan zapewne z jakiegoś rautu wracasz? — rzekł do mnie, mierząc mój ubiór nie zbyt genialnym okiem swoim.

— Przechadzałem się—odpowiedziałem krótko. Szliśmy dalej w milczeniu. Widziałem wyraźnie, jak pan Jacek patrzył na mnie od czasu do czasu z pewnem niedowierzaniem.

W kilka dni potem poszedłem do Leonili. Wyszła sama na moje spotkanie. Wyciągnęła do mnie obie ręce i spojrzała mi w oczy z taką radością, jakby w tej chwili nie jej do szczęścia nie brakowało.

— Jakże pan w porę przyszedłeś! — rzekła do mnie z uśmiechem anioła — przyszedłeś, aby mnie pocieszyć i nie dać dłużej płakać nad smutnym losem swego ulubieńca... Biedny Juliusz!

Zdawało mi się, że oczy jej były jeszcze czerwone od płaczu, a czarne źrenice świeciły się jeszcze jasno, jak to zwykle bywa po każdym większym wzruszeniu.

— Zostaw pani Juliusza w spokoju — odpowiedziałem w nastroju tragicznym — tacy bohaterowie, jak on, nie potrzebują łez ludzkich ani litości. Ciosy tragiczne mają też do siebie, że, jakkolwiek zabijają, sprawiają jednak pewną rozkosz, jakiej nigdy nie czują ludzie zwykli.

— Właśnie przed chwilą czytałam to w noweli — mówiła dalej Leonila, trzymając mnie za rękę.

Zadziwiły mnie te słowa.

— Myślałem, żeś pani już dawno to uczyniła...

— Nie miałam czasu. We Środę mieliśmy arcy-nudną wizytę i z rozpaczy musiałam śpiewać.

Przyszedł mi na myśl pan Jacek. Z prawdziwą litością spojrzałem na biedną Leonilę. Spostrzegła to i z współczuciem podziękowała mi wejrzeniem.

Na moje szczęście stryjenka Leonili była chora, czy nieubrana. Leonila robiła honory domu. Zaprowadziła mnie do małej kanapki, na której usiedliśmy oboje.

— Przyznam się panu — zaszczębiała miłym głosem — że jakieś złe duchy nie dawały mi zabrać się do czytania. Przedwczoraj był wielki raut u pani Weroniki, a wczoraj musiałam być na koncercie. Przy dziennym świetle nie chciałam czytać, bo... klejnoty najlepiej wydają się wieczorem. Jestem dotąd olśniona.

Ukloniłem się z całą skromnością.

— Jednej rzeczy nie mogę panu darować — mówiła dalej Leonila — że Juliuszowi każesz pan tak wiele cierpieć.

— Serce wielkie i szlachetne... odpowiedziałem z powagą — Serca poetów — czują i cierpią za miliony!

Leonila patrzyła na mnie z pewną adoracją, jakby widziała we mnie jeden z owych milionów.

— Biedni ludzie! — szepnęła z cicha — ale im przecież zazdroszczę! Czuć tak wiele, a chociażby i cierpieć, jest zawsze rozkoszą! Ale nie wszyscy są wybrani!

(Dalszy ciąg nastąpi).

POSĄG JERZEGO SAND.

Posąg. — Protestacya Akademii Paryskiej. — Korrespondencyi tom V i VI.

(Ciąg dalszy).

„Jest się szczęśliwym za własną swoją sprawą, gdy ktoś umie wziąć się do tego: gdy ma się gusta skromne, pewien zasób odwagi, pewien zasób abnegacyi, zamiłowanie pracy” — pisze Sand w 1866 r. do Karola Poncy i dodaje, że zatem „szczęście nie jest chimerą.” — „Jestem teraz przekonana o tem, bo wiem, że zapomocą doświadczenia i reflexyi dużo wydobywa się ze siebie; przez cierpliwość i silną wolę naprawia się nawet zdrowie swoje” — zakończyła i z całego układu jej życia, z całego toku myśli wyrażonych w jej korespondencyi, widać, że jest to reguła,

którą uczyniła prawem starości swojej. Koło jej znajomych i przyjaciół coraz się przerzedza, coraz mniej jest tych, co ją otaczali; odczuwa to poetka boleśnie. „Okrażam przylądek Goryczy i wpływam na nieznane morze Osamotnienia” — pisze do Ulbach'a po jednym ze zgonów takich, którzy ją mocniej zabił, ale do nakazu, który nałożyła na siebie, należy i „otrząsanie się ze zmartwień.” Samo szczęście takie, które możemy sobie dawać, czyniłoby z nas egoistów i ludzi oschłych, sercem bezpłodnych; ale uleganie zmartwieniom, które nieustannie biją na nas ze stron różnych, doprowadziłoby do goryczy i odebrałoby życiu odwagę; więc nie trzeba im się poddawać, aby wewnętrzna mądrość człowieka mogła oddziaływać i bronić go. — To jej filozofia, przez którą chce utrzymać równowagę moralną wśród żalów, mnożących się dla niej coraz z postępem lat. W liście pisanym do bliźszego przyjaciela, przed którym głębiej otwierała serce, do Barbès'a, jest wprawdzie wyznanie jej takie: „Mogłabym powtórzyć za tobą: moje życie było smutne! Było i jest zawsze pełne okrutnych szarpań i mój zasób wewnętrznej wesołości nie uchronił mnie od ciężkich pogrzebów.” Ale i tu zaraz dodaje, że siła woli powinna niedopuszczać poddawania się biernego uczuciom swoim, losowi. Z dzielnym mężstwem ducha uznaje boleść za składową część ludzkiego istnienia. „Trzeba kochać, trzeba cierpieć, trzeba płakać — trzeba mieć nadzieję, tworzyć: *być*... trzeba *chcieć* we wszelkim sensie boskim i naturalnym” pisze w tym samym liście dodając, że czuje się córką ojczyzny swojej Francuzką, przez to przekonanie najwyższe, że w życiu „nie należy liczyć upadków, ran, zawieszonych nadziei, okrutnych przygnębień myśli, ale trzeba zawsze podnosić się na nogi, zbierać, skubiąc łachmany swego serca, pozaczepiane o różne ciernie drogi, i iść prosto do Boga z temi krwawymi trofeami życia.”

Sand, silnie wierząca w Boga i uznająca go w prostym, katechizmowym znaczeniu, jest religijną przez naturalną skłonność swego ducha; w korespondencyi jej z tego czasu dużo miejsca zajmuje Bóg i myśl o pozaziemskim istnieniu człowieka. Myśli ona często, bardzo często o śmierci, wie, że musi już być niedaleką, lecz jest w myślach tego potężnego umysłu spokój i przekonanie głębokie o dalszym duchowym swem trwaniu. Nie poddaje się nigdy, nawet przelotnie, groźbie nicości, zniknięcia, rozproszenia się w naturze; cień tej trwogi nie pada nigdy na nią. Jest też to dla jej starości, jakgdyby kolumną mocną, o którą się opiera utrzymując tem szlachetny, piękny spokój ducha wobec wielkiej *przemiany*, o której wie, że się zbliża. Może też być jeszcze czynną, może myśleć, tworzyć, istnieć użytecznie, broniąc się smutkowi, który wynika ze strat, uznawanych też przez jej rozum potężny za konieczność. W mężnej walce z cierpieniem widzi ona moralny obowiązek człowieka, nie tylko względem samego siebie, i wyraża to w liście do synowej rozpaczającej po stracie dziecka. Babka kochała je także bardzo tkliwie. Pisując do syna z Paryża i to w upajających chwilach, gdy wystawienie w teatrze jej sztuki „Villemer” było tryumfem, jednym ciągiem szalonych prawie owacyi, nie zapomina ona nigdy o swoim *Cocotin*, interesując ją drobnostki, o drobnostkach tych pisuje do przyjaciół swoich, przecież daje synowej taką męztwa naukę: „Zapomnieć i pogodzić się ze stratą jest niepodobieństwem, ale niemniej trzeba mimo to żyć tak, aby pełnić swój obowiązek. Serce nakazuje nam pomagać do życia tym, których kochamy; filozofia, religia nawet nie wystarczają chwilami, ale skoro się kocha, powinno się mieć boleść dobrą, to jest kochającą.”

W innym liście pisanym do obojga rodziców, przyznając bólesci prawa, którym ustąpić trzeba: „laisser faire la nature” powtarza jednak to samo niemal, co było wyżej: „Zwalczcie gorycz, biedne dzieci moje; uczynicie sobie nieszczęście łagodnem i nie oskarżajcie Boga.” Dał On wam rok szczęścia i nadziei, dobro, które wam spuścił: wziął potem do siebie, na łono swoje, które jest miłością powszechną, ale odda On je wam pod inną postacią. Będziecie znów kochać i cierpieć, przenikać się nadziejami, radościami — jednym słowem:

musicie żyć dalej, a życie musi też być taką mieszaniną okrutną. Tylko kochajcie się wzajem i opierajcie jedno o drugie.”

Pojęcie szczęścia jako światła wyłaniającego się z ciemności i istniejącego tylko w przemianach swoich blasku z cieniem, jest u niej stałem i zawsze jednakowo przedstawia się jej umysłowi. W liście do księcia Napoleona pisze w roku 1865: „Szczęście, cobądź mówią, filozofowie, jest abstrakcją i razem rzeczywistością. Trwałe i pewne w stanie *idealu* dla tych, którzy znają jego prawdziwą i wysoką naturę, jest ono chwilowem, choć potężnem w stanie rzeczywistości, gdy czyni nasze służą idealowi. Szczęście w stanie zupełnym nie jest dla człowieka rzeczą ciągle trwałą (parmanente) ale zostaje mu ono w stanie idealu, pomnożone wspomnieniem walk, przez które otrzymanem zostało, a nauką moralną, która z tego wszystkiego wynika, jest to, że trzeba wciąż walczyć, aby powiększać sobie skarb siły i wiary.”

Ta jej mądrość beznamietna zdobytą jest przez powolne, jakgdyby wznoszenie się, ponad ziemią. Czuje to sama, pisząc do Flaubert'a w 1866 roku: „Czuję, że nie będę żyć długo, jakkolwiek mam się bardzo dobrze i wyzdrowiałam zupełnie. Ostrzeżenie to wyciągam sobie z wielkiego spokoju, ze spokoju coraz większego, który zstępuje w duszę moją tak niegdyś wzruszającą się namiętne. Obecnie skoro się obudzę, oczom moim przedstawia się najpierw: planeta nasza i doznaję pewnej trudności w odszukaniu tam mojego ja, które dawniej tak silnie mnie zajmowało i któremu przestaje już mówić *ty*, a zaczynam tytułować je *wy*. Śliczna jest — ta planeta; bardzo zajmująca, bardzo ciekawa, ale nieco postarowiecku urządzona i nieulatwiająca pobytu na niej; mam też nadzieję, że się przeniosę do oazy lepiej uprząowanej i wygodniejszej dla ogółu. Tu trzeba tyle mienia i zapasów, aby podróżować, i czas który się obraca na zdobycie sobie tego, jest straconem dla równowagi i nauki. Myślę, że należy mi się coś mniej skomplikowanego, naturalniej bogatego i w łatwiejszy sposób dobrego, niż ten tutejszy mój przystanek gorączkowy. Czy i ty będziesz tam, w świecie marzeń moich, jeżeli uda mi się znaleźć raz do niego drogę? Ah! kto to wie?”

To pisała d. 9 Stycznia, a w sześć dni potem, d. 15-go, tasama myśl: odejścia ztąd a przejścia gdzieś indziej, odzywa się w liście do Barbès'a: „Pewna, że życie nie kończy się, że nawet nie zostaje zawieszonem, że jest tylko przejście z niego, idę naprzód z głęboką ufnością w nieznane przyszłość. Wstrzymuję się teraz od dochodzenia, odgadywania jej i definiowania, bo widzę wielkie niebezpieczeństwo w tych wysiłkach wyobraźni, ale mam pojęcie stanu wiecznego i nieustającego, a jakimkolwiek jest, jest mi to wykazaniem wewnętrznem, przez uczucie nieprzeczwyciężone, że jest on logiczny (ten stan) więc dobry i piękny. To dość — dość jest dla mnie tego, takiej nadziei, a raczej takiej wiary, aby żyć w miłości i we względny spokój, z dozą pogody potrzebnej do utrzymania solidarności ze światem i bliźniemi.”

„Mówię ci to o sobie, drogi przyjacielu, ze względu że to wspólny nasz ideał, wewnętrzne marzenie, które nas podtrzymuje, napełnia siłą i pogodą w wigilię śmierci.”

Tegożsamego dnia, 15 Stycznia, pisze też do Flaubert'a: „Szukam, bo obecny mój stan, to jak w piosence:

Ty, co o zachodzie słońca,
Idziesz szukająca
Fortuny....

„Tak, szukam ja fortuny dusznej: *światta!* Starejąc się, nabieramy o godzinie zachodzącego słońca, która jest godziną najpiękniejszych tonów i odbłasków, nowego pojęcia o rzeczy wszelkiej, a szczególnie o uczuciu. W wieku, gdy osobistość jest w nas potężną, ocenia się tak przyjaciół, jak ziemię pod zasiew: ze względu na wydajność, gdy przecież naprężenie indywidualne zmniejsza się, kochamy ludzi dlatego, czem są w istotach swoich, dlatego, co przedstawiają wzrokowi duszy naszej, a nie dla zysku z nich — nie dlatego co dołożą do istnienia naszego. Jest tu tak, jak z obrazem, z posągiem, którybyśmy chcieli posiadać, marząc jednocześnie o pięknym domu dla sie-

bie, gdziebyśmy to umieścili. Gdy przecież strawiło się młode lata, wędrując przez krainę cygańską, i nie uzbierało się nic—gdy się już wie, że tak pozostać musi nazawsze, że umrzemy, nie mając ani dacha, ani ogniska własnego, wtedy myśli się o obrazie, o posagu inaczej: nie mielibyśmy co z niemi zrobić; posiadając je, nie mielibyśmy gdzie godnie ich umieścić, i jesteśmy szczęśliwi wiedząc, że znajdują się w jakiejś świątyni, nieco dalej od oczu naszych, gdzie miłujemy je więcej jeszcze, i mówimy sobie: —Przechodzić będę tamtędy, gdzie jest ich pomieszczenie, ujrzę je więc i uraduję się ich widokiem, kochając zawsze to, co mi dało umiłowac je i zrozumieć. Nie-miłość siebie będzie teraz ukochaniem ich przezemnie.“

„Tak to ideał, którego nie pragniemy już ustalić przez zapewnienie go sobie jako własności, ustala się właśnie dlatego, że pozostaje ideałem. Oto cała tajemnica piękna, prawdy, miłości, przyjaźni, sztuki, zapachu, wiary. Pomyśl nad tem, przyjacielu, a poznasz to.“

Zachód słońca był rzeczywiście dla tej wspańskiej natury kobiecej godziną najpiękniejszych odbłasków i tonów światła. Lata upływające uszlachetniają ją i uczą: podnosi się ponad to, co przeżyła, bo sądzi przeszłość jak suknie, spadłe z niej, a patrząc przed siebie, patrzy w górę. Zbadała wiele, ale duch jej silny jest, nie zmęczył się więc, nie legł na odpoczynek leniwy i ma tę ciekawość istot wzniosłych, które niepokoją się zawsze niewiadomościami i chcą wciąż dowiadywać się. Czytając historię tej starości i porównując ją z mnóstwem starości innych ludzi, dla których w życiu nic już nie ma, których nic już nie zajmuje, skoro na rachunek własnego używania żyć przestali—którzy marudnieją, tetryczają, męczą siebie i innych, uznaje się prawdę tego, co napisała raz do Flauberta: że ludzie bez ideału i bez gustu „sont des vrais infortunés de ce monde“.... „Nudzą się, niczego nie użyją i nie zdają się na nic.“ Sand ma też wśród własnej starości głębokie dla takich ludzi politowanie, lecz podciąga zarówno pod tę kategorię „nieszczęśliwych tego świata“, ludzi wychłódłych z wiekiem i pisze zawsze do Flauberta z wielkiem pożałowaniem nad taką starością. —„Biedny Sainte-Beuve! płacze tego, co jest w życiu najmniej poważną rzeczą, co jest najmniej godną pożałowania. Intelligencja, choćby najbardziej rozwinięta, nie wystarczy przecież, aby udzielała nam życia, aby uczyła nas umierać. Barbès, który od tak dawna już czeka tylko chwili, w której omdlenie zabierze go ztąd, jest słodki i uśmiechnięty. Nie zdaje się to ani jemu, ani nikomu z jego przyjaciół, aby śmierć miała go rozłączyć z nami. Ten tylko odchodzi od świata w zupełności, kto sądzi, że kończy całkowicie, i nie wyciąga też ręki do nikogo, aby szedł za nim blisko, albo trafił kiedyś do niego.“

Wiara Sand w nieśmiertelność jej ducha jest nieodstępnym jej niby przedblaskiem nowego życia, który oświeca zamgloną dal zaziemskich horyzontów. Taką samą jest wiara w Boga tej religijnej, duszy, która ma wstręt do ateizmu i żal nad nim. Żałuje ona bardzo tych, którzy nie mogą odczuć Boga w niebie i wielce piękny jest jej list, pisany w tym przedmiocie dnia 15 Maja 1866 roku do M. Desplanches w Paryżu. Pisz: „Cher ami“ i zaczyna od razu od refutacji. „Bardzo dobrze wyrażasz to, co chcesz wypowiedzieć, ale twoja maniera rozumowania może być tysiąc razy zaprzeczona. Nie bądź dumny z definicji twojej, bo w tym przedmiocie nie ma zgola definicji dobrej. Czynisz Boga czystą abstrakcją, gdyby przecież Bóg był abstrakcją jedynie, nie byłoby Go—pisze z rzadką u niej teraz żywością słowa, i kładąc na to z podniosłą pięknoscą wy-motywowany nacisk, że człowiek nie może stwierdzić słowami Boga dla tej wielkiej przyczyny, że nie może tego uczynić nawet względem własnej swej istoty, zakończy: „L'homme ne se connaît pas encore lui même et il ne peut pas s'affirmer!“

„Bądźmy prostymi, jeżeli chcemy być wierzącymi, mój drogi przyjacielu — radzi. Ani ty, ani ja nie jesteśmy na to dość silni — a i silniejsi od nas nie dopięli celu — abyśmy Boga mogli zdefiniować i w ten sposób dowieść Go. Przyznaj zaś

to, bo wiesz, że człowiek nie może dowieść niczego, czego nie zdefiniował i nie sformułował.“

„Wiek nasz nie może Boga dowieść, ale spodziewam się, że przyszedł będzie mógł! Wierzmy w postęp, wierzymy tymczasem w Boga już zaraz. Uczucie nasze popycha nas do tego. Wiara jest to podniesienie, zapal, stan wielkości dusznej, którą trzeba chować w głębi swojej jako skarb i nierozpraszać go po drodze w drobnej miedzianej monecie — w słowach próżnych, w rozumowaniach niedokładnych i pedantycznych. W ten to sposób, przyjacielu, popełniasz błąd. Chcesz ogłaszać jako doktrynę nową, to, co jest zebraniem starych pojęć, niedostatecznych i wpadłych już w zaniechanie. Psujesz sprawę twoją, szukając dla niej dowodów, których nie masz, ty, i nikt jeszcze.

„Mimo to mówię: *Wierz*, co nie ma znaczyć: twierdzić!... Mówmy: *Mam nadzieję*, co nie jest bynajmniej: wiem... Złączmy dusze z tym ideałem, z tem pragnieniem, przecuciem, które jest tęsknotą duchów dobrych. Czujemy, że jest nam tego potrzeba—że, aby mieć miłość, trzeba mieć wiarę i nadzieję, zupełnie tak samo, jak wolności i równości trzeba braterstwa.“

„Oto prawdy, trzymające się gruntu bardzo nizinno, które jednak są wznioślejsze od wszelkich dowodów uczonych doktorów. Bądźmy dość skromni sercem, aby się zadowolnić niemi, nie rzucając na chybitrafi wyrazami: „abstrakcja.. konkretność.“ Toć-to słowa są tylko, mój małeńki, słowa, z których za pięćset lat, co najwcześniej, lub co najpóźniej, będą się śmiać. Nie istnieje tak abstrakcja, jak konkretność, tak konkretność, jak abstrakcja, określenia to konwenyonalne, które swego czasu pójdą do kosza. Jesteś szlachetnym sercem, jesteś szczęśliwą inteligencją, ale schowaj-no mi twoją metodę dowodzenia Boga, bo nie nie warta. Powiedz drobnej dziaćtwoj: —*Wierz, bo kocham*... To dość... cokolwiek więcej byś dodał, mózg by im popsuło. Pozwól im szukać samym; jako pokolenie przyszłości, w zasadzie powinni oni być silniejsi i oświeceni od nas.“

(Dalszy ciąg nastąpi).

O GIMNASTYCE.

Dla zdrowia praca czyli ruch mięśniowy jest niezbędnym.

Według Lavoisier'a człowiek pozostający w spoczynku zużywa na godzinę 24 litrów tlenu, gdy tymczasem organizm, którego mięśnie pracują spożywa w tym samym czasie 63 litrów tego niezbędnego dla życia gazu. Buchardat utrzymuje, że cyfry te są przesadzone, wątpić jednakże nie można, że usilna praca potrzebuje dostarczenia większej ilości pierwiastków pożywnych, a zwłaszcza tlenu.

Wydzielanie kwasu węglanego z płuc, pozostaje w stosunku prostym do wykonywanej pracy, t. j. im więcej mięśnie pracują i temsamem im więcej płuca wdychają tlenu, tem więcej wydziela się kwasu węglanego. Objawami dotykalmi są przedewszystkiem: powiększenie liczby oddechów i pulsu na minutę a następnie podwyższenie temperatury ciała, co termometrem sprawdzić można.

Jeżeli weźmiemy dwóch ludzi pozostających w jednakowej temperaturze, z których jeden wykonywa mozolną pracę (np. tracz), a drugi pozostaje w spokoju (np. woźnica), przekonamy się dowodnie, że tak jest w rzeczywistości. U pierwszego oddech i puls będą daleko częstszymi, a o różnicy temperatury ciała i bez termometru przekonać się można; dowodem pot na czole tracza, chociaż swą czynność w lekkiej odzieży odbywa, a rozcieranie rąk i uderzanie nogami u woźnicy chociaż ma ciężki kożuch i ciepłe obuwie na sobie. Oile praca fizyczna wpływa na rozwój muskulatury tego dowodem fakt, iż prawa ręka jest zazwyczaj grubsza t. j. lepiej rozwinięta, niż lewa; wyjątek, stanowią oczywiście, mańkuci.

Praca mięśniowa oddziaływa dodatnio na orga-

na trawienia: najpierw dlatego, iż skutkiem pracy zużywa się, spala, więcej materiału w organizmie, który-to ubytek wynagrodzonym być musi przez zwiększony przyjmowaniem pokarmów; a potem, że skutkiem ruchu wydzieliny przewodu pokarmowego są zwiększającą swą ilość, to zaś sprawdza apetyt i możność trawienia większej ilości pokarmów.

Człowiek stworzony jest do pracy. Niepodobna zaprzeczyć, iż wszelkiego rodzaju praca nad siły upośledza zdrowie i prowadzi do wyczerpania organizmu, mówimy tu zarówno o pracy fizycznej, jak i umysłowej. I tak, skutkiem wysiłków bywają nierzadko choroby serca, płuc, mózgu i nerwów. Daleko jednak częściej spotykamy choroby wywołane gnuśnem życiem, jako to: nadmierną otyłość, stłuszczenie serca, wątroby, pedogre i t. p. Należy tu, naturalnie, brać liczbę przeciętną w klasie biednej i w klasie bogatej. Praca przyczynia się do rozwoju sił ducha i uprzyjemnia życie; bezczynność sprawdza stan bardzo smutny, który Anglicy mianem „spleenu“ określili.

Bez pracy nie może być zdrowia i życie nie ma celu. Franklin powiedział: „Ten, który nie nie robi, jest blizkim złego uczynku.“

Zapewne mimochęć nasunie się pytanie: co za korzyść dla organizmu ze zwiększonego pochłaniania tlenu i zwiększonego przyjmowania pokarmów obu skutków wywołanych przez zwiększoną pracę? Korzyść kolosalna, gdyż wszystkie organa wogóle, a w szczególności i muskulatura rozwijają się, hartują, stają się wytrzymalszymi na wpływy i bodźce zewnętrzne. Zdawałoby się napozór, że z powodu pracy i temsamem szybszej przemiany materii w organizmie, ten ostatni prędzej zużywa się i skutkiem tego łatwiej chorować i prędzej zamierać powinien. Tymczasem tak nie jest. Choroby daleko bardziej są rozwielmożnione w klasach wyższych społeczeństwa, aniżeli w niższych, które daleko więcej pracują. Co się zaś śmiertelności tyczy, to jest ona daleko większą w miastach, niż po wsiach, w których ludność wyłącznie zajęta jest ciężką pracą fizyczną.

Utrata siły skutkiem pracy wynagradzana bywa zwiększonym przyjmowaniem pokarmów; wiadomą bowiem jest rzeczą, że ludzie fizycznie pracujący mogą bez porównania więcej zjeść i strawić t. j. przyswoić nowych pierwiastków, niż ludzie, którzy zajęci są pracą umysłową. Przewód pokarmowy zaopatrzony jest w gruczoły wydzielające soki niezbędne do trawienia. Otóż, przy zwiększonej pracy mięśniowej, soki te wydzielają się obficie i temsamem większą ilość pierwiastków pożywnych przyswoić są zdolne. Ludzie, którzy wcale albo bardzo mało pracują fizycznie, jeżeli przyjmują dużo pożywnych pokarmów, zapadają bardzo często na tak zwaną pełnokrwistość (plethora abdominalis), którą rok rocznie usuwać wypada zapomocą wód karlsbadzkich lub marienbadzkich. Tu także szukać należy przyczyn bólów głowy, migreny, otyłości i t. p.

Cywilizacja, która tyle dobrodziejstw wyrządziła ludzkości, ma, jak każda rzecz ludzka, swe ujemne strony, z których, bez kwestyi, najważniejszą jest stan skarłowacenia dzisiejszego pokolenia, pod względem fizycznym. Mamy proch, parowozy i parostatki, mamy telegrafy i telefony, ale bezwarunkowo brak nam zdrowia. Czy z pierwszych się cieszyć, czy nad drugim utyskiwać? Nie będę tej kwestyi bliżej tu roztrząsać, to jednakże pewna, że można jedno z drugim połączyć. Można doskonale strzelać z rewolweru, lecz można umieć i pałaszem walczyć, można jeździć pociągiem kuryerskim kolei żelaznej, lecz można umieć i konia dosiąść; można dziecku pozwolić uczyć się przez 6 godzin dziennie, lecz niech to dziecko przez godzinę gimnastykuje się. Literat lub urzędnik, który musi przez 10 godzin przesiedzieć przy biurku, niech po skończonej pracy godzinę spaceruje, a pół godziny robi hantlami. Nadmierna praca umysłowa bez jednoczesnej pracy mięśniowej, jest najważniejszym może momentem przyczynowym chorób nerwowych, a w części i umysłowych, które w ostatnich dziesiąt-

kach lat tak się przerażająco rozpowszechniły między klasą wykształconą.

W starożytnej Grecji, gdzie gimnastyka i ćwiczenia ciała wszelkiego rodzaju były prawem nakazane, kwitły nauki i sztuki piękne, i kto wie: czy nie temu właśnie rozwój ich przypisać należy? *Mens sana in corpore sano.*

Dzisiejsza medycyna, dla utrzymania zdrowia i powrócenia go choremu organizmowi, nie ucieka się, jak to przed niedawnym jeszcze było czasem, wyłącznie do apteki t. j., do miksury i proszków. Powstało bardzo wiele metod leczenia daleko skuteczniejszych i potężniejszych, gdzie czynnikami są powietrze, woda, elektryczność, ruch itp. Ze temi metodami niekiedy jedynie, a zawsze w części, osiągnąć można cel pożądaný, o tem już chyba dziś nikt nie wątpi. Nikt również nie wątpi bynajmniej, że praca fizyczna, praca rozwijająca muskulaturę i szkielet, które stanowią przeważny skład organizmu człowieka, musi iść w parze ze zdrowiem, i że tak się dzieje bez wyjątku.

Porównajmy tylko dzisiejsze pokolenie i parę nas poprzedzających z dawnej wygasłymi. Niechby spróbował nawet najsilniej bijący hołubiec młodzieńiec przywdziać starożytną zbroję i po spacerować w niej po Saskim Ogrodzie, albo chociażby pojeździć konno po Łazienkach—spociałby się biedaczek.

Prócz względów higienicznych ma gimnastyka swą stronę estetyczną. Organizm bowiem, w którym muskulatura dobrze jest rozwinięta, odznacza się przedewszystkiem ładnemi, klasycznymi kształtami, a potem postawą, ruchy, to jest sposób trzymania się, chodzenia, tańczenia i w ogóle wykonywanie wszelkich czynności odbywa się bez wysiłku. Ludzie tacy odznaczają się zawsze średnią tuszą i mają potrzebną siłę do pracy.

Gdyby kto jaknajwięcej o tem myślał i najbardziej się starał, aby ładnie chodzić albo tańczyć, jeżeli nie ma ku temu dostatecznie rozwiniętych mięśni, na nic się trud jego nie przyda: owszem, im bardziej starać się o to będzie, im więcej będzie o tem myślał, tem niezgrabniejszym i śmieszniejszym się wyda.

Gimnastyka niezbędną jest dla ludzi, którzy skutkiem zajęcia zmuszeni są po kilka godzin dziennie siedzieć, a więc dla uczniów, dla urzędników, literatów i t. p. i dla osób chorych. Ztąd gimnastyka rozpada się na działy:

Gimnastykę higieniczną i gimnastykę leczniczą.

Gimnastyka higieniczna oddać może zdrowemu organizmowi nieobliczone korzyści; należy ją jednakże odbywać umiejętnie, najlepiej pod okiem specjalisty, przyczem pamiętać trzeba, że gimnastyka i sztuki akrobatyczne—to dwie odrębne rzeczy; że nadużywając pewnych ćwiczeń gimnastycznych, zamiast korzyści można organizmowi szkodę wyrządzić; trzeba z koziołkami, skakaniem, wieszaniem się na nogach lub tyle głowy i t. p. bardzo być ostrożnym, gdyż prócz traumatycznych uszkodzeń, jak złamania i zwichnięcia, spowodować można przyływ krwi do organów, albo nawet pęknięcie naczyń krwionośnych, co za sobą kalectwo—lub śmierć spowodować może.

Do gimnastyki higienicznej zaliczają się: spacerować pieszo i powozem, konna jazda, pływanie, wiosłowanie, granie w piłkę, w billard i t. p.; za pomocą nich doskonale można rozwijać pewne grupy mięśni, przyspieszać krążenie krwi i ruchy przewodu pokarmowego, a także pobudzać czynności systemu nerwowego. Każdy bez wyjątku starać się winien o rozwinięcie sił fizycznych, gdyż prócz tego, że rozwój taki dodatnio oddziaływa na zdrowie, niejednokrotnie daje sposobność do ocalenia życia własnego lub cudzego. A potem—człowiek silny jest odważnym, a odważny śmiało swe myśli wyraża, zarówno słowem, jak i piórem. A więc do hantli!

Za twórcę gimnastyki leczniczej uważać należy Szweda Ling'a, który przed 40 laty udoskonalił ją i zastosował do celów leczniczych, i dlatego znaną jest ona pod nazwiskiem „szwedzkiej”—i dziś rozpowszechnioną została po całym niemal świecie.

Gimnastyka szwedzka oddaje wielkie usługi przy leczeniu chorób systemu nerwowego i mięśniowego, przy chorobach organów oddychania, krążenia krwi i trawienia, prócz tego bardzo rozległe ma zastosowanie w skrzywieniach kości.

Zapomocą niej wyleczyć można rozmaitego rodzaju porażenia (paraliże) członków, zaniki mięśni, osłabienia, bóle lub bezczułości nerwowe. Przy usposobieniu do chorób płucnych (bądź nabytych bądź też dziedzicznych) można je pod działaniem gimnastyki nie tylko o óznić w rozwoju, lecz niekiedy nawet zupełnie wykorzystać. Przez należyte rozwinięcie mięśni i kości klatki piersiowej często udaje się zapobiedz suchotom płucnym. W cierpieniach przewodu pokarmowego, szczególnie w chronicznych, oddaje gimnastyka wielkie usługi.

W gimnastyce szwedzkiej ćwiczenia dzielą się na czynne, to jest takie, które osoba chora sama wykonywa, i na bierne, które druga osoba na osobie chorej wykonywa—jako to: ugniatanie, rozciąganie, uderzanie, nacieranie i t. p. Zapomocą tych rękoczynów jesteśmy w możności, stosownie do potrzeby, od pewnych organów odciągnąć zbyt w nich nagromadzoną krew, to jest zmniejszyć lub usunąć zapalenie; w innych znów powiększyć przyływ krwi i temsamem pobudzić do lepszego odżywiania.

Gimnastyka lecznicza zastosowaną być może prawie we wszystkich chorobach chronicznych; w ostatnich czasach poczęto jej z korzyścią używać i w chorobach gorączkowych.

Przy jakich chorobach i w jaki sposób uciekać się należy do gimnastyki szwedzkiej, a także jak i kiedy stosować tak zwany „masaż“, o tem nie omieszkamy pomówić w jednej z następnych pogadanek.

Dr. Józef Starkman.

ZAGRODA DE LA CARIDAD

EPIZOD Z WOJNY

FRANCUZKO-HISZPAŃSKIEJ 1808 ROKU

przez

Henryka Rodriguez de Salis

przełożył z hiszpańskiego D.

I.

Przy drodze prowadzącej z Manres do Esparaquera zwraca uwagę podróżnego klasztor Benedyktynów, wspaniałej architektury, a obok niego kościół Najświętszej Panny, wznoszący się na szczycie góry Monserat, od której wziął swą nazwę, słynną w świecie.

Z drugiej strony drogi rozciąga się osada wiejska; tuż przy niej leży oddzielnie dom wieśniaczy znany pod nazwą: Masia de la Caridad. Przed domem wznosi się prosty krzyż z kamienia, na ramionach którego czytać można następujące wyrazy, grubą snycerską robotą wyrzyte: „Tutaj waleczny i prawy Jakób Marti śmierć poniósł z rąk Francuzów, w obronie ojczyzny, ogniska domowego i rodziny swojej. Cześć dzielnemu Katalończykowi, chwała prawemu obywatelowi, błogosławieństwo dobremu ojcu, dobremu synowi i małżonkowi! W dowód uwielbienia i poszanowania wystawili ten krzyż współobywatele.”

Krzyż ów i napis ma poza sobą tragiczną historię; mieszkańcy okolicy przechodząc mimo, odkrywają głowę z uszanowaniem i, wskazując to miejsce dzieciom, klękają i modlą się. Modlą się obok nich i dzieci, i dopytują potem o dzieje człowieka, w którym każe im czcić wzór do naśladowania. Podamy tę historię tak, jak ją zachowało miejscowe podanie, które tam dotąd z ust do ust przechodzi, opowiadane z rozrzewieniem, słuchane ze czcią.

Wieczór w Lutym 1808 r. był smutny i pęsepnny, z ciężkich chmur, które przez dzień cały pokry-

wały niebo, zaczął nakoniec padać śnieg wielkimi płatami i wkrótce pokrył pola, zasypał ścieżki i spowił białe gałęzie obnażonych drzew. Góra El Bruch wyglądała już jak widmo uwinęte w szerokie fałdy białego płaszcza, gdy dzwon z wieży klasztornej kończył powoliwać do modłów wieczornych. Zakonnicy odpoczywali w celach, albo modlili się gorąco, aby Bóg okazał cud miłosierdzia nad nieszczęsną Hiszpanią. Po domach, po chatach wioski, i ustronnych zagrodach, kobiety szeptały również modliwie, aby Bóg zachował ich biedne ogniska domowe od rabunku i zniszczenia, bo spodziewane nadciągnięcie wojska francuzkiego siało w serce niepokój i trwogę, której rozpedzić nie mogła nawet modlitwa wznoszona do Boga. Zaledwie zamikły dzwony, gdy do furty klasztoru przystąpił człowiek, przeszło lat trzydziestu, otulony płaszczem, z muszkietem na ramieniu, szybkim ruchem ręki nacisnął dwukrotnie młot w wielkich drzwi, i głośny dźwięk tego uderzenia zabrzmiał wśród cichości wieczoru.

Braciszek klasztorny ukazał się u drzwi, a przychodzień zażądał widzenia się z przeorem, co przecież nie było rzeczą, zwyczajną o tak późnej godzinie, lecz gdy przybysz rozchylił płaszcz i ukazał twarz, braciszek zmienił ton odpowiedzi swoich: — A, to wy, Jakóbie! wchodźcie proszę—zawołał i powiodł go w głąb klasztoru, gdzie panowało milczenie przypominające raczej cmentarz, niżeli mieszkanie żyjących. Ciemne i głuche były kurytarze, galerie puste, cele nie dawały żadnego znaku życia, jak katakumby cmentarne. Kroki dwóch idących rozlegały się ponuro.

— Co to jest, bracie? Co znaczy to milczenie? zapytał gość, zwany Jakóbem.

— Jakto? czyż być może, aby was niezawiadomiono?

— O czym?

— Cicho... zaraz wam powiem.

— Ale — szepnął Jakub — zapewne wiadano o stanie mojej biednej żony i nie zapukano do mego domu, nie przyniesiono żadnych wieści....

— Tak, to musiało się stać dlatego — odparł braciszek, aż nakoniec przebyto galerię, braciszek dotknął drzwi, które zaraz otworzono.

Noc czarna zalegała to ciemne wejście.

— Kto przychodzi? — mruknął głos jakiś.

— Brat.

— Wierzysz?

— Bogu.

— Ufasz?

— W opiekę Świętego Benedykta.

— Wejdźcie.

Braciszek podał rękę Jakóbowi i obaj weszli po ciemnych wschodach do kościoła. Braciszek zwrócił się do chóru, a przy słabym świetle lampy Jakób mógł zliczyć około pięćdziesięciu ludzi zgromadzonych, oprócz trzydziestu zakonników Benedyktynów.

Szmer radości rozległ się za ukazaniem się Jakóba, bo był to człowiek lubiony w całej okolicy i najlepszy strzelec, pełen uczciwości i współczucia dla bliźnich, przyjaciel najwierniejszy. Dom jego znany był w okolicy pod nazwą „Masia de la Caridad“, to jest miłości chrześcijańskiej, bo nigdy ubogi nie opuszczał go, nie doznawszy wsparcia, ani też potrzebował szukać gdzieindziej go spody.

Brak Jakóba w zgromadzeniu wprzód już spostrzeżono i nie poczynano by nic bez niego, ale przeor oświadczył że stan zdrowia jego żony nie dozwolił, aby go zabierano z domu, i dość było po ukończonej naradzie uwiadomić go, co postanowieniem zostało.

Ujrawszy Jakóba wchodzącego, przeor się zląkł.

— Co zaszło? — zapytał.

— Moja biedna Michalina umiera — rzekł — a nie chciałbym, aby oddała ducha Bogu bez waszego, ojcze, rozgrzeszenia jej na drogę wieczności.

— Wszak rano było jej lepiej...

— Tak, dziś rano, ale złe wiadomości krążą, mówią, że Francuzi są blisko, zlekła się o mnie, a nade wszystko o syna naszego, i boję się, czy nie nadchodzi ostatnia jej godzina na ziemi.

— Idźmy tedy, mój synu — rzekł przeor — pośpieszajmy.

— Jeszcze chwilę, ojciec — rzekł Jakób głosem wzruszonym — Oddałbym życie za żonę moją, ale wyście tutaj radzili o matce nas wszystkich, która też jakoby ostatnie technienie wydaje: nie chcę więc, abyście oderwali się od nieukończonych narań. Michalina jest mi tylko małżonką, ojczyzna jest mi matką. Nie zawiadomiliście mnie z uwagi na jej stan, i dzięki składam niebu, iż to mi odkrytem zostało.

— Pomyśl, synu mój, a jeśli żona twoja kona w tej chwili?

— Jeśli kona w tej chwili, Bóg ją przyjmie na łono swoje...

— Ale twój syn.

— Mój syn — rzekł Jakób, ocierając szybko łzę. — Nic to jednak znaczyć nie może. Mów, mów ojciec, rozporządzaj mną. Francuzi idą, otoczyli już nas, co mamy począć? jakie są wiadomości?

— Francuzi są ztąd o trzy mile, gotują się, aby wyruszyć w kierunku Saragossy, do której chcą dotrzeć, niszcząc wszystko po drodze!

— O! przez świętą Opiekunkę z Monserackiej góry! — wykrzyknął Jakób, — wprzód będą musieli przejść po trupach naszych! czyliż nie tak przyjaciele?

— Tak, tak — zawołali wszyscy.

— I cóż tu przedsięwzięcie?

— Tej nocy, skoro uderzy dwunasta, wszyscy zakonnicy Ś. Benedykta zgromadzą się w pustelni Ś. Anny, której wyniosłość panuje nad rozległą okolicą; tamże dowódcy tu zebrani przywołają swoje drużyny i ztamtąd każdy wyruszy zając stanowisko sobie przeznaczone.

— A które jest najniebezpieczniejsze?

— Folwark Noy.

— Dobrze, tego więc ja będę strzegł z moimi zuchami i chyba ptak zdoła przelecieć tamtędy.

— A twój dom?

— O mój dom nie troszczcie się: brat mój Piotr będzie go strzegł, mogę polegać na nim.

— Nic tedy nie ma więcej do mówienia. O dwunastej w pustelni Ś. Anny, u braci zakonnych.

— Bądź zdrów, ojciec przeorze — odezwały się głosy wzruszone i zebrani ruszyli się z miejsca, jedni wychodzili głównymi drzwiami, drudzy przez zakrystyę, inni przez ogród, a gdy już chór został opróżniony, przeor położył rękę na ramieniu Jakóba.

— Teraz, mój synu, idźmy — rzekł — i niech Bóg nas wspiera swą łaską.

— Idźmy!

Po kwadransie drogi przybyli do Masia de la Caridad. Kobieta lat dwudziestu pięciu, od trzech miesięcy złożona ciężką, śmiertelną chorobą, leżała na łóżku w dolnej izby domu, do której Jakób wprowadził zakonnik.

Na sosnowym stole, nakrytym białym obrusem, wznosił się rzeźbiony wizerunek Matki Boskiej z Monseratu, i paliły się przed nim dwie jarzące świece.

Czteroletni chłopczyk zasypiał na kolanach starca, ojca chorej; tuż przy nim dwóch parobków czyściło broń.

Na dworze mróz był ostry, chora, pełna obawy o męża, natężonem uchem chwytała szmer najmniejszy, lecz od czasu do czasu rzucała pełne tklivosti wejrzenia miłosne, wejrzenia matki na biednego malca, którego dziadek usypiał. Dziecko było tak piękne w tej chwili, że kiedy uśmiech rozkosznego uczucia ukazał się na bladych ustach chorej, przeciw wkrótce dwie łzy stoczyły się z pięknych jej oczów. Myśl, iż wkrótce musi opuścić dziecko, wywołała ten płacz cichy.

W chwilę potem dało się słyszeć ciche gwiżdżenie i kobieta usłyszała je pierwsza.

— Idzie... Jakób idzie — zawołała.

Wielki podwórzowy pies zaszczekał też radośnie, witając pana, który wszedł i wprowadził ze sobą ojca przeora.

— Niech cię Bóg błogosławi, córko moja. Jak się miewasz? — zapytał.

— Żle, już brakuje mi sił do wytrzymania boleści. Cierpię bardzo.

— Myśl o Bogu, córko moja, wierz i ufaj Mu — rzekł ksiądz łagodnie.

— O ojciec, nie boleści mi dolegają, nie strata życia mnie straszy — jęknęła chora. — Ale co się stanie z ojcem moim? z moim synem? Ach! ojciec mój stary, a dziecina mała. Jakóbie, mężu mój, tobie ich zostawiam, pamiętaj, że co dzień potrzebna im będzie pomoc i opieka.

— Mężtwo, córko moja, zostaw Bogu i ludziom to, co tu na ziemi dzieć się będzie, a myśl tylko o duszy twojej.

— A Francuzi? — zawołała — cóż Francuzi?

— Daleko są ztąd — odrzekł Jakób — i już się cofają.

— O nie! ty mnie zwodzisz, Jakóbie! — jęknęła chora. — Patrzyła na męża błagalnie, aby jej powiedział prawdę, ale ten powtórzył jej tylko to, co już był powiedział, że Francuzi cofają się porażeni. Potem pochylił się nad łóżkiem i ucałował czoło żony. — Pójdę przyprowadzić ci doktora — rzekł, a gdy biedna kobieta pytała, czy prędko wróci? upewniał ją, że nie długo. Przeor, wzięwszy go na stronę, usiłował jeszcze zatrzymać go w domu, ale on nie dał się skłonić do tego. Zwrócił się przed odejściem do starca i namówił, aby poszedł spać, sam go odprowadził do jego łóżka, ucałował tklawie dziecko i — poszedł.

Przeor został przy chorej, służba też czuwała, a on puścił się samotny zasłaną śniegiem drogą i dążył spieszny krokami do folwarku Noy.

Gdy się tam znalazł, nakoniec, gdy, zawoławszy u bramy, aby mu drzwi otworzono, wszedł, ujrzał tam gromadę młodych wieśniaków pijących i grających przy ognisku. Gospodarz Noy del Mar wyszedł naprzeciw niego i wyciągnął doń rękę, na powitanie, inni powstałi z uszanowaniem.

— Nie przeszkadzajcie sobie, niech moja obecność nie przerywa wam rozrywki — rzekł, ale Filip Noy potrząsnął głową. — Nie Jakóbie — odpowiedział, wiemy, że masz w sercu żal nad umierającą żoną, nie byłoby więc uczciwie pić tu i grać dalej w twojej obecności.

— A co słyhać?

— Francuzi już blisko, będą tu niedługo, jeszcze tej nocy. Wiem, iż podjąłeś się bronić mojego domu, jednak ja nie powinienem na to pozwolić. Wróć do siebie, Jakóbie... twoja żona już niedługo będzie z tobą.

— Skoro przysięgam, że bronić będę domu twojego Filipie, śmierć tylko jedna może mi przeszkodzić do spełnienia przysięgi — odparł.

— Jakóbie — zawołał wzruszony — wiedziałem że inaczej nie postąpisz, ale nie chcę, abyś mnie miał za niewdzięcznika. Szczyć się mianem twego przyjaciela, jestem chrzestnym ojcem twojego syna i żona moja, Antonia, właśnie tylko co wyszła z moją córką, oraz z bratem twoim Piotrem i z dwoma służącymi memi — udali się do Masia de la Caridad z postanowieniem czuwania tam dzisiejszej nocy.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Kronika działalności kobiecej.

— W dniu 28 zeszłego miesiąca zebrało się w redakcyi *Inżynierji i budownictwa* grono pedagogów, dla narady nad mapą p. Jadwigi Wójcikiej: czy dobrze będzie wprowadzić do niej uzupełniające wskazówki co do przemysłu, załudnienia, pamiętek historycznych, jak to zaprojektowaniem zostało? Naradzający się pp. Chlebowski, Dawid, Dygasiński, Dziwulski, Łagowski, Nowicki, Sulimierski, Swiniarski, Szafarkiewicz, Szumowski, Wicherkiwicz, Witkowski, Włoszek, Wróblewski, uznali, że wielka ilość szczegółów musiałaby sprowadzić przeładowanie, zaciemnienie mapy, odejmując jej pierwotny charakter mapy poglądowej. Postanowiono zatem, aby pozostała taką, jaką być miała wedle pierwszej myśli autorki i tylko dla tem większej dokładności przejrzaną i skorygowaną została przez specjalistów w tym przedmiocie. Opóźni to nieco wydanie, ale rzecz sama tylko zyskać na tem może.

— Komitet Londyńskiej Hygienicznej Wystawy, przyznał Mrs Lavibond, żonie piwowara z Fulham, którego piwo zostało na wystawie odznaczone, medal srebrny i nagrodę pieniężną, ustanowioną przez korporacyą cechów londyńskich, za najlepszy examín złożony ze sztuki warzenia piwa.

— Londyńska Lekarska szkoła dla kobiet, rozpoczynająca, jak zwykle, wykłady swe z d. 1-m Października przedstawia bardzo szczęśliwy i pożądany stan rozwoju, gdyż jej drużynę nauczycielską składają prawie wyłącznie kobiety, z Mrs Garret Anderson, jako dziekanem, na czele. Szkoła ma kilka stypendyów, między innymi pięciocentnie dla studentki, która po skończonej nauce zechce praktykować w Indyach; drugie podobne dla przyszłej lekarki w Chinach. Przytem jest do otrzymania sposobem konkursu 10.000 franków dla doktoryzowanej studentki szkoły, na roczny wyjazd za granicę i studyowanie tam chirurgii, a to w celu pozyskania dla szkoły lekarki konsultującej w pewnej gałęzi chirurgii. Studentki szkoły mają sobie otwarty dla studyów klinicznych szpital, liczący 150 łózek; a trzy wyższe szkoły państwa: Uniwersytet Irlandzki, Dublinzkie kolegium medycyny i chirurgii, wreszcie Uniwersytet Londyński przyjmują je do składania examínów i udzielają im stopni naukowych. Tak więc medyczna edukacya kobiety jest już poważnie ugruntowaną w Anglii, z tem niezmiernie wiele znaczącym przywilejem, że chcąc z niej korzystać znajduje swoją własną, najzupełniej kobiecą szkołę. Ale nauka medycyny nie jest dla Angielki wcale taną, a nawet jest bardzo drogą. Roczna opłata wykładów, studyów klinicznych i examínów wynosi blisko 200 funtów sterlingów, co na monetę kursu u nas mającą, znaczy 2.000 rs. Że przytem studentka nie może zarabiać sobie na życie, bo czas jej jest bardzo zajęty, i tylko dzieć się to może przez wakacje, więc, dodając do tego skromne utrzymanie w Londynie przez lat pięć, stworzy się summa 10.000 rs. Usuwając różnicę kursu, będzie to zawsze 6.000 rs., czyli po 1.200 rs. rocznie. Jednak bardzo już znaczna liczba kobiet angielskich została lekarzami i obecnie nie brakuje wcale kandydatek do tego pracowitego, trudnego zawodu.

— Uczona starożytniczka, Miss Peek, poczynając od d. 1 Października mieć będzie w Londynie, w gmachu *British Museum* sześć prelekcji „O ruinach miast starożytnych“. Przedmiotem jej będą kolejno: Persepolis, Palmira i Balbek, Tyr i Sydon, Petra, Tarsus i t. d.

— Miss Gordon, siostra generała, była obecną inspekcji statków, składających flotyllę Nilową, która już została wyprawiona do Egiptu. Posiada ona wszystkie główne cnoty i rysy charakteru swego brata: jego siłę charakteru i odwagę; puszczała się też kilkakrotnie na pełne morze przy wypróbowywaniu statków, wypływających z portu Southhampton. Wczasy ciężkiej niepewności o los generała, wiele osób nadsyłało jej znaczne summy pieniędzy, aby za ich pomocą można było śpieszyć mu na pomoc; ale ona odrzucała wszystko z godnością, tłumacząc, że pieniądze zrobić tu nic nie mogą. Jej brat stał na straży interesów swego kraju i ten kraj nie może go opuścić. Miss Gordon robiła sama korektę książki swego brata „O Palestynie.“

— Znana czytelnikom naszym Indyanka z prowincji Mahratta, uczona tak w Sanskrycie i starożytnej literaturze swego narodu, że zadziwiała uczonych angielskich, Pandita Rama Bai, przechodzi na religię chrześcijańską, na katolicyzm.

— Miss Peehey, doktorka medycyny, wezwana do Indji na lekarkę leczniczą kobiecej w Bombay, podałaby obecnie do dzienników londyńskich sprawozdanie z przebytych tam kolei. Lecznica została wzniesiona kosztem prywatnym! Cywilizowany na sposób europejski Indyanin, Jaffer Suleiman, wznosił ją i zaopatrywał w narzędzia i aparata potrzebne, wydając na to 20.000 rupii. Celem jego było zapewnić niebogatej kobiecie indyjskiej oświeconą pomoc lekarską, której ze względów religijnych nie może ona otrzymać tylko od kobiety. Rząd kolonii przeznaczył na utrzymanie lecznicy przez trzy lata po 6.000 rupii rocznie; pierwsza rata złożoną została w re-

ce Miss Peehey, lecz dalej musiała już radzić sobie sama. Od d. 1 do 13 lipca zgłosiło się do lecznicy chorych kobiet i dzieci piętnaście, lecz postęp był tak szybki, że do d. 28 było już ich dwieście kilkanaście i prawie połowa musiała być odsyłana, gdyż Miss Peehey nie miała żadnego asystenta. Miss Peehey miała szereg prelekcji „O higienie i pierwszych pomocach lekarskich“, widząc z pociechą, iż obok kobiet angielskich, słucha jej znaczna liczba Indyanek.

— W Ameryce, z kąd nas dochodzą tak często wiadomości o najbardziej emancypowanych dążeniach kobiety i chęci wyzwolenia się z kobiecej pracy w rodzinie, zakładają się od lat kilku za przykładem Anglii liczne kobiece szkoły gotowania i to nie tylko dla kucharek z professyi, lecz i dla kobiet z tych klas średnich i wyższych, które chcą być dobrymi gospodyniami. Lecz widocznie potrzeba gospodarności i umiejętnego zarządu domem, przeniknęła tam i do młodszego pokolenia, bo w Nowym-Yorku zawiązał się przed pięciu laty, w kołach uczących się dziewcząt: „Klub kucharski“, którego zasadą to było, iż obok nabywania nauk umysł kształcących, powinna każda młoda panna uzdolnić się w ważnej gałęzi domowego gospodarstwa: powinna nauczyć się gotować. Kółko klubistek, zrazu ograniczone do kilku blisko znanych sobie dziewcząt, rozszerzyło się następnie do 56 osób, wszystko uczennic szkolnych, w wieku od lat 12. Zbierały się one tygodniowo na naukę gotowania w domu jednej ze stowarzyszonych i usiłowały własnoręcznie ugotować wieczerzę, którą następnie klubistki spożywały wesoło. Gdy grono tych młodych gospośiów dorosło ostatecznie, klub się rozwiązał w d. 18 Czerwca bieżącego roku. Zakończył istnienie swoje wesołym zebraniem wieczornem, na które klubistki zaprosiły koleżanki swoje ze wszystkich naukowych zakładów i w wielkiej sali liceum żeńskiego przy ulicy Morristown setki zgromadzonych dziewcząt bawiły się i tańczyły od godziny ósmej, do w pół do pierwszej. Klubistki, które tu były gospodyniami i które same przyrządziły wszystko, co tu do jedzenia lub picia podano, były w mundurach swego klubu, to jest każda miała biały gładki fartuszek i biały muslinowy czepek. Wiele podobnych klubów zawiązało się na ten wzór: w Bostonie, w Filadelfii, w Savannah i jest to dobry zawizek dla przyszłej działalności gospodarczej Amerykanek.

— Miss Klara Barton opuściła Washington, udając się w podróż do Europy, do Genewy, dla uczestniczenia w konwencji Czerwonego Krzyża, do czego została akredytowaną przez prezydenta Arthur'a. Pomiedzy delegatami różnych narodowości Miss Barton będzie jedyną kobietą, co zadziwia, szczególnie ze strony Angielek, bo miejsce to jest, gdzie kobieta właśnie znajdować się powinna.

— Ofiarność, duch poświęcenia Francuzek zaznaczył się bardzo szlachetnie w obec klęski panującej w Południowej Francji. Oprócz niezmiernego poświęcenia się Sióstr Miłosierdzia i innych religijnych stowarzyszeń, z których wiele padło ofiarą cholery, oprócz poprzednio wymienionych w kronice naszej, poświęcających się męźnie kobiet, występują na jaw coraz to nowe czyny ewangelicznego zaparcia się siebie dla miłości cierpiących bliźnich. W Tulonie ochmistrzyni wyższej szkoły żeńskiej, M-elle Gasteau, urządziła zaraz po wybuchnięciu zarazy ambulanś, w którym sama osobiście była czynną. Matka jej, nie chcąc rozdzielać się z córką w niebezpieczeństwie, była tam z nią zawsze, dzieląc trudy ofiarnicze i na nieszczęście uległa zarazie. Wkrótce potem zachorowała i córka, ale uratowaną została. Ludność miejscowa wspomina też z wdzię-

cznością pannę Szumlowską (czy nie Szumlańską?), która poświęcała się ratunkowi kobiet i dzieci w najuboższych dzielnicach starego miasta — w ciasnych, brudnych ulicach, gdzie zaraza srożyła się najsilniej. Zachorowała, odniesiona do szpitala, gdzie szczęśliwie wytrzymała bardzo ciężki przebieg choroby, wróciła po nabraniu sił sił do ofiarniczego swego dzieła. Tosamo powtórzyło się ze wspomnianą już na tem miejscu margabiną de Bois Hébert, która przybyła do Marsylii, aby w szpitalu Pharo pełnić obowiązki pilnowaczki chorych. Zachorowała też i ona na cholere, i natychmiast po podniesieniu się z łóżka, wróciła na swój ofiarniczy posterunek, co jak wieść chodzą, miała być wynikiem pobożnie uczynionego ślubu. Młoda małżonka deputowanego ze skrajnej partii radykalnej, Klowisa Hugues, towarzyszyła mężowi do Marsylii i przy jego boku poświęcała się ratunkowi biednego ludu z klas rzemieślniczych. Piękna, młoda, żywo czująca, wylewała często nad nędzą ludzką, nad cierpieniem ludzkim łzy gorące, przecież ludzie widzieli ją co rano spieszącą niemal wesoło na miejsce ofiary i poświęcenia, w labirent ciemnych, smutnych ulic, lub — do szpitala. Według głosu powszechnego, pani ta znajdowała się tam z miłości dla męża, którego puścić nie chciała samotnie, ale czy ślub miłości i ofiary tak jak u margabiny de Bois Hébert, jest zrobiony Bogu, czy jak tu, człowiekowi, jeżeli ma grunt szlachetny i do dobra ludzkiego dążący, godzi się go uznać za czyn piękny i cześć należną mu oddać.

— Zmarła we Francji p. de la Grave, która była niegdyś nauczycielką córek księcia Nemours, a znająca dobrze naszą historję i literaturę. pierwsza położyła w sercu księżniczki Małgorzaty grunt do tego, że następnie pokochała i wyszła za księcia Czartoryjskiego. Do dziś dnia ta pani zachowała w kierunku młodo wzbudzonych sympatyj uczucie niezmiennione. Obecnie mówi dobrze naszym językiem, którego uczyła się troskliwie. Gdy p. Anna Traugott, teraz p. Juszkiewiczowa, bawiła przed kilku laty w Paryżu, księżna czytywała z nią polskie książki i wprawiała się w poprawne mówienie. Księżna Nemours, którego i drugą córkę księżniczkę Blanckę, nieboszczka wychowała, towarzyszył jej pogrzebowi.

— We Francji rozpowszechnia się coraz bardziej nowa gałąź zarobku dla kobiety, jest nią podróżowanie w interesie handlu i przemysłu. Już od lat kilku magazyny strojów wysyłają z próbkami i okazami liczne zastępy „commis-voyageuses“, które skutecznie niż mężczyźni mogą tu działać i towar swój zręcznie przymierzając, zalecać. Przyjmują one zamówienia i bardzo porządnie prowadzą rachunkową i piśmienną stronę swego zawodu, który za ich przykładem, zaczyna się przyjmować w Ameryce. Tam dała początek temu wdowa, która po śmierci męża, komiwojażera przy handlu futrami w Nowym-Yorku, dla utrzymania siebie i dzieci podjęła się tej pracy mozolnej, odrywającej od domu, ale zyskowej. Komiwojażerka wysyłana przez wielki magazyn strojów w Saint-Louis zarabia rocznie na czysto 12.000 franków.

— W Niemczech nowem także źródłem zarobku dla kobiety jest urząd inspektorów zdrowia, poddających badaniom mikroskopowym mięso wieprzowe, zali nie zawiera trychniny lub węgrów? i świeżo dwie kobiety otrzymały takie miejsce na Szlaku Pruskim w gminach: Cunnersdori i Gottschdorf (nie wiemy jaką jest nazwa polska tych miejscowości). W gminach ludniejszych zarobek z tem zajęciem złączony (taxa jest jedna marka od sztuki), przynosi około 400 marek rocznie. Trzeba na to złożyć examini uzdolnienia przed doktorem obwodowym. I w Poznańskim

mogły być kobiety pozyskać dla siebie ten dział pracy lekkiej i nie przeszkadzającej zajęciom gospodarstwa domowego.

MYŚLI.

Nie ma przypadku,
I co nam się zdaje być ślepym trafem,
Wypływa ze źródła przyczyn najgłębszych.
Schiller. — Śmierć Wallensteina.

Jedna tylko jest filozofia życia, jakkolwiek istnieje jej szkół tysiące, a zowie się ona: — wytrwałość. Kto los swój znosi, pokonywa go.
Bulwer. — Ostatnie dni Pompei.

Poddanie się temu, co się stać może; nadzieja i wiara w to, że ostatecznie tylko dobre i potrzebne dźiać się musi, wytrwałość w doświadczeniach przeciwności — oto wszystko, co człowiek przeciwstawić może losowi.

Humboldt.

Żyć jest to walczyć.

Seneca.

W każdej dobrej melodramie, sceny tragiczne i komiczne idą po sobie naprzemian, co wydaje nam się niedorzeczem, a przecież nie jest nieprawdziwem. W życiu rzeczywistym przejście od stołu, przy którym się uczuje, do łoża śmierci, od żałoby, do weselnego stroju, odcina się niemiennie ostro i to tylko tworzy całą różnicę, że tu jesteśmy czynnie zajętemi aktorami, a tam obojętnymi widzami jedynie.

Dickens.

Istnieją tylko trzy drogi, do szczęścia wiodące. Pierwszą jest ta, która górą idzie, i tak wysoko ponad obłokami życia prowadzi, że cały nasz świat z wilczymi dołami, samotrzaskami w które się nogi ludzkie łapią, i konduktorami od piorunów, wygląda jak dziecienny ogródek. Druga droga idzie właśnie przez ów ogródek, gdzie się można tak wygodnie w brudzie między grządkami umieścić, że wyjrawszy z tego ciepłego skowronkowego domu, nie widzi się już wcale, owych wilczych dołów pułapek i pik żelaznych, które w niebo strzelają, a tylko krzaczki, z których każdy jest dla ptasiego gniazda drzewem i parasolem od słońca i deszczu. Trzecia droga, którą za najcięższą i za najrozumnieszczą uważać można, to ta, która naprzemian to tym, to tamtym szlakiem wiodzie.

Jan Paweł Richter.

Ostatniego dnia musi człowiek doczekać
I szczęśliwym nazwać się nie może nikt z
[śmiertelnych,
Przed zgonem i pogrzebaniem go w ziemi.
Owidiusz. — Przemiany.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 8-my i 9-ty powieści pod tyt.: **Dwie**.

TREŚĆ. Co jest szczęście? (poezya), przez Maryą Ilnicką. — Po wakacjach, (dokończenie), przez Maryą Ilnicką. — Pierwsza nowella, przez J. Zacharyasiewiczą. — Posąg Jerzego Sand, (dalszy ciąg). — O gimnastyce, przez Dra Józefa Starkmana. — Zagroda de la Caridad, Epizod z wojny francusko-hispańskiej 1808 r., przez Henryka Rodriguez de Salis. — Kronika działalności kobiecej. — Myśli.

Dodatek obejmuje: 8 i 9-ty arkusz powieści p. t.: *Dwie*, przez M. Georgianę Craik. — 24 wzory ubiorów i robót wraz z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycją stołu.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 26 Сентября 1884 года.